

"Siłaczka" - na zesłaniu
/Relacja Teodory/

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Naszą osadę Staniewicze, gmin. Iwacewicze, pow. Kosów Poleski, zamieszkiwali sami bogaci rolnicy. Mieli po 20 - 30ha ziemi.

Osiedlali się tutaj rolnicy z całej Polski. W osadzie mieszkało około stu dwudziestu rodzin.

Wczesnym rankiem o godz. 4 - 5-tej dnia 10 II 1940r do naszego domu weszło dwóch radzieckich żołnierzy z karabinami, a dwóch stało na podwórku.

Żołnierz rozkazał ubrać się i wychodzić z domu, bo nas wysiedlają. Powiedział również, że niczego nie wolno nam zabrać.

Ojca trzymali pod karabinem. Mama zrozpaczona ubierała dzieci.

Po chwili jeden żołnierz wyszedł. W tym momencie drugi, który trzymał ojca pod karabinem do mnie powiedział: "Bierz co dasz rady". Brałam co było pod ręką.

Żołnierz z podwórka wrócił i rozkazał: "wychodzić z domu". Wyszliśmy z naszego domu wszyscy.

Wawrzyniec Wilimberg	■	ur.1880	ojciec
Walentyna	"	ur 1898	matka
Teodora	"	ur 1926	córka /autorka wspomnień/
Wojciech	"	ur 1929	syn
Zygmunt	"	ur 1932	syn
Tadeusz	"	ur 1936	syn

Zygmunta i Tadeusza umieścili w saniach z rzeczami, które zabraliśmy w pośpiechu. My obok sań, za nami żołnierze i tak doszliśmy do szkoły w Staniewiczach.

Gdy w szkole byli już wszyscy ludzie z naszej osady przeznaczeni na zsyłkę, powiedzieli nam żołnierze, że wywożą nas do stacji Iwacewicze. Odległej o siedem kilometrów.

Znów z dziećmi i tłumoczkami - do sań. Starsze dzieci i dorośli szliśmy koło sań, a przy nas żołnierze z karabinami gotowymi do strzału.

Na stacji w Iwacewiczach czekały na nas wagony towarowe. Wepchali nas do wagonu, w którym był na podłodze zamarznęty obornik. Po obu stronach wagonu, były piętrowe prycze. Pośrodku żelazny piecyk. Było też korytko wpuszczone w ścianę. Miało służyć za ubikację. Okazało się w praktyce bardzo niewygodne.

Tato miał siekierkę. Wyrąbał dziurę w podłodze w kącie wagonu. Miejsce to osłoniliśmy kocem. W ten sposób zrobiliśmy sobie ubikację.

W wagonie było nas dwadzieścia osiem osób w tym czternaścioro dzieci w różnym wieku.

Wagon nasz miał małe okienka. Jak pociąg zatrzymywał się w lesie, to przez okienko wyłazili chłopcy, zbierali drzewo i wracali do wagonu, też przez okienko. /Staliśmy długo przeważnie w lasach/. Mogliśmy wtedy zapalić w piecyku.

Przez tydzień podróży tylko przez okienko podawali nam czasem zupę, lub wrzątek.

Pierwszy raz otworzyli drzwi w okolicy Moskwy. Przynieśli zupę w wiadrze i bochenek chleba dla wszystkich w wagonie. Każdy zupę nabierał sobie do naczynia jakie miał z domu. Zupa była rzadka, wodnista.

Od tej pory podawano nam posiłek jeden raz dziennie i nie przez okienko, a otwierali drzwi wagonu.

Pociągiem jechaliśmy przez trzy tygodnie. Wysiedliśmy w Archangielsku. Mróz -40°C . Na stacji w Archangielsku czekały na nas sanie.

Z nami byli teściowie mojej starszej siostry. Prosiliśmy naczelnika, abyśmy mogli być razem. Niestety, nie zgodzili się. Rodziny specjalnie rozdzielali.

Do saní wsiedli bracia: Tadeusz i Zygmunt. Rodzice, ja i brat Wojciech biegliśmy koło saní. Przy nas żołnierze.

Mama kilka razy upadła. Wówczas żołnierz do mamy powiedział: "Wstawaj stara, bo tu zdechniesz".

Ja starałam się mamie pomóc, aby się podniosła. Ojcu też było trudno biec i też kilka razy upadł ze zmęczenia.

Tak szliśmy i jechaliśmy przez trzy tygodnie. Na nocleg za-

trzymywaliśmy się w cerkwiach, kołchozach, stajniach, magazynach. Spaliśmy na podłodze: kamiennej, drewnianej, klepisku. Czasem było trochę słomy.

W czasie tej podróży dawali nam zupę, albo kawałek chleba i gorącą wodę.

W ten sposób po trzech tygodniach dotarliśmy do miejscowości Niżna Szuksza, posesiołek Siennoje, rejon Karpogorski.

Najpierw załadowano nas do łaźni, dzieci z dorosłymi kobietami. Myśmy wstydziły się rozbierać w obecności starszych osób. Wówczas na nas krzyczeli, ścigali siłą bieliznę i mówili: "idzi j.. twoju mać"! "Ruszaj się".

Po kąpieli rozdzielono nas do baraków. Baraki były drewniane z pryzami na których były sienniki. Podłoga drewniana, w ścianach okienka. W korytarzu gliniany piec. Można było palić i mieliśmy ciepło. Tylko pluskwy bardzo nam dokuczały.

Osoby słabsze pozostały na posesiołku Siennoje. Moi rodzice i bracia - także.

Rodzice pracowali w lesie przy ustawianiu "metrów" drzewa na opał.

Mężczyzn i starsze dzieci zawieźli na "zagotówkę" do ścinania drzewa. Ja byłam w tej grupie. Nie miałam jeszcze pełnych czternastu lat.

Tak w odosobnieniu od rodziny pracowałam przez jeden rok. Starczałam się, aby pozwolono mi być z rodzicami.

Udało się. Rodziców przywieźli do mnie. Zamieszkaliśmy w jednej izbie, w Wierchniej Szukszy.

Tu również rodzice pracowali w lesie przy stawianiu "metrów" w pobliżu baraku. Były też dni, gdy rodziców brali do wywózki drzewa z lasu. Drzewo to rzeką Szukszą płynęło do rzeki Juła, a później do rzeki Piniga. Następnie było zbijane w tratwy - i do rzeki Dwina.

Ja po sezonie zimowym pracowałam przy spławie drewna. Zostałam przydzielona do tartaku w Wajmuszy, tam przez pewien czas pracowałam i mieszkałam.

Dowiedziałam się od znajomych, że moi rodzice chorują.

Na szczęście do naszego punktu przyjechał Komendant NKWD. Prosiłam go, aby pozwolił mnie iść do rodziców. Pozwolił. On poprzedniego dnia był w punkcie Wierchnia Szuksza i wiedział, co jest z moimi rodzicami.

Odległość z Wajmuszy do Wierchnia Szuksza wynosiła 105 kilometrów. Szłam przez cały dzień i noc. Chwilę odpoczęłam pod drzewem i - dalej w drogę.

Jak przyszedłam do baraku, to mamy już nie było. Polacy mieszkający tam mówili mi, że mama mimo gorączki musiała iść do pracy w lesie. Naczelnik zabrał jej nawet dwadzieścia dkg. chleba, norma przysługująca chorym. Nie mogła "ścierpieć" głodu. W lesie wygrzebywała spod śniegu jagody i jadała. Wróciła z pracy, a wieczór miała jeszcze większą gorączkę. Nad ranem 15.V.1942r zmarła. Polacy pochowali ją na pagórku w lesie.

Ojca zastałam umierającego. Na mój widok powiedział: "O, jesteś córko".

Tato prosił pić. W tym momencie jak chciałam podać ojcu pić zakończył życie. Zaczęłam krzyczeć, wołać pomocy.

Ojciec zmarł 17.V.1942r.

Następnego dnia przyszedł majster. Powiedział, że da deski na trumnę. Polacy zrobili skrzynię. Mnie majster dał łopatę i kazał wykopać ojcu grób.

Poszłam z bratem Wojciechem kopać grób dla ojca, obok grobu mamy. Nadeszła Polka ze swoim dziesięcioletnim synkiem. Odebrała mi łopatę i ona, z tym dzieckiem, wykopała grób dla naszego ojca. Nam powiedziała: "Dzieci nie mogą kopać grobu dla swoich rodziców".

Polacy położyli skrzynię ze zwłokami ojca na wóz, zawieźli na pagórek, pochowali ojca obok grobu mamy.

Brat Wojciech zrobił krzyżyk brzozowy, który postawiliśmy na mogile. Później pod krzyżykiem umieściliśmy butelkę, a w niej: Obrazek święty i nazwiska rodziców. Mogilę ogrodziliśmy parkanem brzozowym.

Po pogrzebie ojca już nie wróciłam do poprzedniego punktu pracy w Wajmuszy. Pozostałam z braćmi w Wierchniej Szukszy.

Wojciech miał lat trzynaście, Zygmunt dziesięć, Tadeusz sześć.

Komendant proponował mi kilkakrotnie, abym oddała braci do domu dziecka. Nie zgodziłam się. Obawiałam się żeby ich nie utracić.

Zaczęła się moja walka o utrzymanie nas przy życiu.

Pracowałam przy ścinaniu drzew po 12 - 14 godzin dziennie. Otrzymywałam w obiad chochlę zupy wodnistej i pół kilograma chleba.

Bracia otrzymywali po dwadzieścia dekagramów chleba dziennie. Posiłkiem swoim dzieliłam się z braćmi. Ze swojej porcji chleba odkrawałam trzy plasterki dla braci. Prosiłam, aby po pół plasterka zjedli na kolację, a drugą połówkę zatrzymali sobie na śniadanie. Nigdy nie wytrzymali do rana. Głodni byliśmy stale wszyscy.

W pracy w lesie padałam ze zmęczenia. Jak dozorca nie widział kładłam się na chwilkę na gałęziach przy ognisku. Ale to tylko na chwilka, bo przecież nie wykonam normy, a wówczas nie będzie nawet tej przydzielonej porcji pół kilograma chleba.

Dodatkową przykrością dla nas było jak majster mówił nam: "Polski już nie ma" lub takie powiedzenie majstra: "Nigdy stąd nie wyjedziecie. Włosy mi na dłoni wyrosną jak wy wrócicie do Polski."

Na sezon letni który trwał x trzy miesiące od czerwca do sierpnia wysłali mnie na sianokosy. Zabrałam ze sobą braci. Było nam łatwiej tam żyć. Zamieszkaliśmy w baraku. Staraliśmy się zająć barak gdzie był piec. Bracia zbierali pokrzywę, szczaw, kobyłak.

Na sianokosach płacili nam kaszą krupką w ilości może pół kilograma na miesiąc.

W porze obiadowej gotowałam kaszę krupkę z zielskiem i wszyscy jedliśmy tę zupę.

Bracia zbierali także jagody, grzyby.

Grzyby i zielsko suszyłam. Był to dla nas bardzo ważny zapas żywności jak wróciliśmy do leśnego punktu. Starczyło tego suszu na dwa lub trzy miesiące. Później już tylko goła norma.

Po powrocie z sianokosów 1.IX. zaczęłam znów pracować przy wyrębie lasu.

Ciągle jesteśmy głodni i ustawiczna myśl, że muszę wykonać normę, by móc wykupić po dwadzieścia dekagram chleba dla braci oraz swoją chochlę rzadziutkiej zupy i pół kilograma chleba.

Sił mam coraz mniej.

Jak tylko wolno nam było zmieniać miejsce zamieszkania, Polacy zaczęli stąd uciekać. Szukali pracy w kołchozie.

Ja też postanowiłam stąd uciec. Był luty 1944r.

Pomogła mi koleżanka Rosjanka. Brata Zygmunta zawiozła do swojej mamy. Za tą pomoc dałam poduszkę. Nic więcej nie miałam. Brat tam chodził po proszonym. Rodzina też żyła w biedzie.

Brata Wojciecha dałam do znajomej Rosjanki do Kuzzkopał. Rosjanka ta powiedziała mi, że chce pomóc sierotom. Brat u niej był przez jeden miesiąc.

W ten sposób mieliśmy z bratem Tadeuszem po czterdzieści dekagram chleba dziennie więcej.

Zgłosiłam dziesiętnikowi, że chcę wyjechać do pracy w kołchozie, gdzie pracują Polacy. Krzychał na mnie straszyl, że odda pod sąd.

Znajoma Rosjanka wozila żywicę do punktu w miejscowości Karenżycha. Obiecała zabrać brata Tadeusza i dowieźć do znajomych rybaków.

Dowiedział się o tym dziesiętnik, zabronił Rosjance udzielenia mi tej pomocy.

Na nic to się zdało.

Brata Tadeusza wyprowadziłam do lasu wcześniej. Rosjanka z żywicą wyjechała bez nas, ale wiedziała, że będziemy czekać w lesie w odległości około 3-ch kilometrów od naszych baraków.

Rosjanka nadjechała, oddałam jej Tadeusza. Umówiliśmy się, że brata zostawi u rybaka w pobliżu miejscowości Karenżychy.

Ja wróciłam do baraku. Wzięłam węzełek i wyruszyłam w ślad za koleżanką. Miałam przed sobą dwadzieścia cztery kilometry do Karenżychy.

Jak doszłam do rybaka, to mój brat już spał na piecu.

Dostałam kolację i położyłam się spać.

Wczesnie rano rybaczka zbudziła mnie i poinformowała, że w miejscowości Karenżycha jest dużo furmanek - karmią konie. Może dadzą nam furmankę.

Poszłam za rzekę do Karenżychy. Tam był zarząd naszego leśnego punktu. Poprosiłam o furmankę. Dali. Zabrałam brata Tadeusza, pojechaliśmy do Kuzkopał. Furmankę oddałam kierownikowi bazy.

Doszliśmy do znajomej u której był brat Wojciech. Zatrzymaliśmy się tam jeden dzień, a wczesnie rano wyspani i nakarmieni wyruszyliśmy do mojej koleżanki po brata Zygmunta. Od gospodyni dostaliśmy sanki i braciszka Tadeusza wieźliśmy z Wojciechem na sankach. Pod wieczór doszliśmy do znajomych /miejscowości nie pamiętam/.

Najtrudniejsze za nami. Wydostaliśmy się z leśnego punktu. Jesteśmy razem - mam już z sobą braci.

Rano wyruszyłam z braćmi w poszukiwaniu pracy w kołchozie. Byliśmy u znajomej /z naszej osady w Polsce Staniewicze/ w kołchozie w Wajnuszy. Pracy tam nie dostałam tylko w następnym kołchozie w odległości cztery kilometry od Wajnuszy za rzeką Pinigą.

W kołchozie płacili, ale po przepracowaniu dziesięciu dni. Nie mamy nic do jedzenia. Jak wytrzymać dziesięć dni?

Zrozpaczona poszłam do miejscowego urzędu z prośbą o kartki żywnościowe.

Kartek nie dostałam, tylko z krzykiem mnie wyrzucili. Powiedzieli: "Możesz zdechnąć, samowolnie porzuciłaś pracę w "leśnym punkcie".

Poszłam do komendanta NKWD. Przedstawiłam swoją sytuację z trójką braci. Wysłuchał mnie, zatelefonował, a po rozmowie telefonicznej kazał iść po kartki do miejscowego urzędu.

Osoba, którą wydawała kartki była bardzo niezadowolona, że poszłam do komendanta NKWD na skargę. Kartki jednak wydała.

Na kartki mogłam dostać dziennie po dwadzieścia dekagramów chleba. Za chleb trzeba było zapłacić. Od Polaków pożyczyłam pieniądze, chleb kupiłam.

Uradowana poszłam podziękować komendantowi. Nazywał się

Skomorochow, podobno pochodził z polskiej rodziny. /Skomorochy pod Buczaczem w Polsce. Uw.C.T./ Odpowiedział: "Takiej dziewczynie jak ty trzeba pomóc". Miłych słów od dawna nie słyszałam.

Zaczęłam pracować w kołchozie. Ładowałam obornik, rozrzucalam na polu, sprzątałam podwórka wokół budynków i ubikację.

Nasze mieszkanie, to jedna izba o dwóch oknach. Klepisko, piec. Dzieci spały na piecu, a ja na wiszącej ławie.

Po dziesięciu dniach pracy dostałam zaliczkę - dziesięć kilogramów jęczmienia. Jęczmień zmełam w żarnach u gospodyni. Robiłam z tego zupę, albo piekłam placki.

Pomocy udzielały nam zwłaszcza biedne matki z dużą rodziną. Zabierały moich braci do swoich domów. Dokarmiali ich. Bracia dostawali wówczas po jednym ziemniaku. Jeżeli gospodyni miała placek, to najpierw placek znaczyła krzyżem świętym, łamała i tyle ile placka miała w palcach dawała braciom. Do picia gorącą wodę. Była to dla nas wielka pomoc.

W maju 1944r w kołchozie było ogłoszenie, aby Polacy zgłaszali się na wyjazd, z tym że nie było informacji dokąd pojedziemy.

Poszłam z Polkami z którymi pracowałam w kołchozie do miejscowości Karpogory. Tam zapisałyśmy się na wyjazd.

Idąc do Karpogor przechodziłyśmy przez rzekę Pinigę po lodzie. W powrotnej drodze jak wracałyśmy lód na rzece był pod wodą. Sprawdzaliśmy tyczkami dno, aby przejść bezpiecznie. Zmoczony byliśmy do pasa.

W ostatnich dniach maja zawiadomiono nas Polaków w kołchozie, że mamy wszyscy być na przystani w Karpogorach i tam czekać na statek. Czekaliśmy całą noc. Rano statek przypłynął. Byli na nim sami Polacy. Spiewali: Jeszcze Polska nie zginęła i oczywiście wszyscy płakaliśmy.

Płynęliśmy rzeką Pinigą i Dwina do Archangielska. Na drogę dali nam chleba, ale porcje bardzo skromne.

W Archangielsku rozsyłali Polaków w różne strony.

Ja z małymi braćmi czekałam w Archangielsku trzy tygodnie. Ciągłe zwozili polskie dzieci.

Wreszcie i nas załadowano do wagonów. Zawieźli nas do wsi Ipatowo kraj Stawropolski.

W dużej szkole był dom dziecka. Dzieci było około 550. Bracia byli umieszczeni w starszych grupach.

Ja zaczęłam pracować jako wychowawczyni w grupie dzieci od trzech do pięciu lat. Pracowałam tam przez pół roku. Nie mogłam dłużej być. Dzieci płakały szczególnie w nocy zrywały się ze snu i wołały mamę, pokazywały palcem, że mama tam stoi. Ja płakałam razem z dziećmi.

Nie mogłam tam pracować. Poszłam do pracowni krawieckiej. Szyłam odzież dla dzieci. Był w tej pracowni Polak - Żyd, który kroił ubrania, a nas cztery szyło.

Zapas żywności w domu dziecka wyczerpał się. Pod jesień osoby dorosłe i starsze dzieci poszliśmy pracować do kołchozu.

Zbieraliśmy arbuzy, winogrona. Ja młynkowałam zboże. Pracowaliśmy od godziny szóstej rano do jedynastej. Później przerwa z powodu upałów. Ponownie do pracy od godziny szesnastej do zmroku.

Po zakończeniu zbiorów wróciliśmy do domu dziecka. Za pracę naszą w kołchozie otrzymaliśmy zboże, jarzyny, owoce.

W dalszym ciągu pracuję w zakładzie krawieckim.

W styczniu 1946r zawiadomiono nas, że dom dziecka zostanie przewieziony do Polski.

W lutym 1946r zostaliśmy załadowani do wagonów towarowych, bez ogrzewania. Żywność dawali nam w czasie podróży na stacjach, gdzie były specjalne punkty wydawania posiłków. Było i tak w czasie podróży, że przyjechaliśmy na stację, a posiłku dla nas nie było.

Zapamiętałam, w Rawie Ruskiej - pociąg nasz nie odjechał, bo musieliśmy czekać na chleb.

Natomiast na trasę, którą myśmy mieli jechać puszczony został transport Żydów polskich.

W niedługim czasie dowiedzieliśmy się od zawiadowcy stacji, że pociąg z Żydami wyleciał w powietrze. Podobno na torach była mina.

Tym razem brak chleba na stacji uratował nam życie.
Odjechaliśmy po kilku godzinach inną trasą.

Nasz transport odprowadzany był przez dwóch radzieckich konwojentów, którzy odradzali nam powrotu do Polski.
Mówili wprost, że Polska jest ich. Nikt tych słów nie słuchał.

Jak przyjechaliśmy na polską granicę wszyscy wysiedli z pociągu i całowaliśmy ziemię.

Mijaliśmy polskie miasta. Czuliśmy radość, której nie umię wypowiedzieć jak i ogromny żal.

W "leśnym punkcie" zostali nasi rodzice. To miejsce, ich mogiłę mam zawsze przed oczami.

W Łodzi wysiedliśmy 17.III.1946r. W Polskim Urzędzie Repatriacyjnym dostałam zapomogę i kartę repatriacyjną.

Pojechałam do siostry do Jabłowa gmin.Gorce. Bracia zaczęli uczęszczać do szkoły.

W Jabłowie poznałam przyszłego męża. Wzięliśmy ślub 8.VI.46r

Za zgodność: *Fruń Teodora*

Teodora Wilinberg Fruń^m

58-732 Boguszów-Gorce

ul. Górna 5/7

Daty spisywania wspomnień: 5.III.90, 4.V.90r.

Wspomnienia spisała *Czesława Tarnawska*
Czesława Tarnawska